

Budzichowska, Maria

Moje wspomnienia z pracy nauczycielskiej w Jazgarce i Klimkach w latach 1945-1947

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 8, 252-265

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Maria BUDZICHOWSKA

MOJE WSPOMNIENIA
Z PRACY NAUCZYCIELSKIEJ
W JAZGARCE I KLIMKACH W LATACH
1945 – 1947

*Leć pieśni nasza z kurpiowskiej niwy
Ponad przestrzenie naszych pól
I ogłoś braciom, że dziś szczęśliwy,
Kto z Ostrołęką cierpiał ból.*

Słowa tej pięknej patriotycznej pieśni budzą we mnie wspomnienia lat szkolnych, gdy jako uczennica przedwojennego ostrołęckiego gimnazjum, śpiewałam w szkolnym chórze. Zorganizowany i prowadzony przez utalentowanego nauczyciela śpiewu i muzyki Tadeusza Mieczkowskiego, chór nasz wykonywał wraz z orkiestrą smyczkową piękne pieśni kurpiowskie. Zauroczyły mnie te pieśni o głębokiej treści i różnorodnej tematyce. Niezwykle melodyjne; jedne smutne i powolne inne zaś skoczne i radosne, opiewające zwyczaje, przyrodę, słowem życie i byt Kurpi. Od tamtych lat zaczęła się moja fascynacja i zainteresowanie tym regionem. Mimo tego, że urodziłam się na wschodnich rubieżach Polski i przybyłam z rodzicami do Ostrołęki w wieku 6 lat to urok ziemi kurpiowskiej i walory jej mieszkańców sprawiły, iż zżyłam się z tym środowiskiem.

U schyłku wojny na Kurpiach

Zimą 1945 r., gdy rozgrywały się decydujące walki z Niemcami zamieszkaliśmy z rodzicami w Kadzidle, skąd przedostaliśmy się do małej wioski Rososz nad rzeką Rozogą. Serdecznej staropolskiej gościny używał nam gospodarz Stanisław Kur. Mimo ogromnej biedy i ogólnego niepokoju, gdyż zbliżał się front, mieszkańcy tej wioski nader życzliwie odnosili się zarówno do naszej rodziny, jak i do innych

uciekierów. Dzielili się z nami skromnymi zapasami żywności, dali mieszkanie i drzewo na opał, okazali zrozumienie i nigdy nie odmówili, gdy mogli w czymś pomóc.

Pierwsze próby nauczania dzieci

Aby chociaż częściowo zrewanżować się za wszystko zaproponowałam gospodarzom, że mogę spróbować uczyć dzieci. Najpierw były to dzieci domowników, a potem zaczęły przychodzić dzieci sąsiadów. Uczyłam je czytania, pisania rachunków oraz katechizmu. Cieszyłam się, że moi uczniowie robią coraz to większe postępy w nauce. Zadowoleni byli rodzice, widząc, że dziatwa garnie się do nauki, jak również same dzieci z radością przychodziły na naukę. Wielu z nich odznaczało się dobrą pamięcią i zdolnościami. Wtedy to właśnie, próbując swych sił na niwie pedagogicznej, doszłam do przekonania, że bardzo odpowiada mi praca z dziećmi i że zawód nauczycielki jest moim powołaniem.

Podjęcie decyzji – będę nauczycielką

Pod koniec lutego 1945 r. dowiedziałam się, że w powiecie ostrołęckim zaczęto organizować szkolnictwo podstawowe. Zachęcona przez gospodarzy i moich rodziców zaczęłam się starać w Inspektoracie Oświaty w Ostrołęce o zatrudnienie mnie w charakterze nauczycielki Szkoły Podstawowej w Jazgarce, gmina Kadzidło. Prosiłam o tę szkołę, ponieważ do niej uczęszczały dzieci z Rososzy, które już znałam. Obawiałam się, że nie poradzę sobie z zorganizowaniem szkoły oraz z nauczaniem w niej.

Zwyciężyła jednak we mnie chęć zajęcia się tymi dziećmi, które już przez długi okres wojny i okupacji hitlerowskiej pozbawione były możliwości zdobywania wiedzy. Rozmyślałam i zastanawiałam się długo nad tym, jak powinnam postępować z dziećmi i jak będę im przekazywać wiedzę i umiejętności. Nie miałam bowiem wówczas żadnego przygotowania metodycznego i pedagogicznego. W porównaniu z dziećmi, które miałam uczyć, posiadałam już spory zasób wiadomości, zdążyłam bowiem przed wojną ukończyć w Ostrołęce Gimnazjum Ogólnokształcące. Miałam tak zwaną „Małą maturę”. Wiedziałam, że będę musiała sama dużo się uczyć, aby zdobyć

kwalifikacje nauczycielskie, lecz nie przerażało mnie to, gdyż byłam pełna zapału i chęci, aby przekazywać uczniom to, co jest dla nich konieczne i czego sama się nauczyłam. Nie posiadałam programu nauczania, ani podręczników, postanowiłam więc zgodnie ze swą intuicją uczyć tego, co jest najważniejsze, niezbędne i pożyteczne dla rozwoju zaniedbanej przez wojenne warunki dziatwy.

Do podjęcia pracy w szkole zachęcało mnie zaangażowanie rodziców, pragnących, aby ich dzieci jak najprędzej zaczęły się uczyć. Widziałam z ich strony aprobatę dla moich starań, oraz życzliwość i przyjazny stosunek do mnie.

Organizowanie szkoły w Jazgarce

Udałam się do Wydziału Oświaty w Ostrołęce, gdzie inspektor Drozd z Warszawy od ręki napisał mi nominację na nauczycielkę Szkoły Podstawowej w Jazgarce, gmina Kadzidło. Za radą znajomych gospodarzy poszłam do sołtysa w Jazgarce, Pana Parzycha, który bardzo przychylnie ustosunkował się do sprawy zorganizowania szkoły i zaczął energicznie działać. Tego samego dnia zebrał kilkunastu gospodarzy, którzy mieli dzieci w szkolnym wieku i zachęcił do współpracy na rzecz zorganizowania szkoły. Powstała tzw. „Rada Szkolna”, która razem ze mną zajęła się urządzaniem izby lekcyjnej. Wieś nie posiadała budynku szkolnego, wynajęto zatem izbę u Pani Zapadkowej na skraju wioski. Znalezione kilka starych ławek szkolnych, oraz tablicę, które zostały pomalowane. Resztę brakujących ławek wykonali rodzice.

Wybielono pięknie izbę lekcyjną, a następnie udekorowano wycinankami kurpiowskimi, które przyniosły dzieci z domu.

Na parapetach okien ustawiliśmy doniczki z kwitnącymi kwiatami. Każdy, kto tylko mógł, starał się przyczynić do upiększania klasy. Wiele było pracy, a przy tym moc radości, śmiechu i wesela, że nareszcie po tylu latach będzie znów we wsi szkoła.

Zrozumiałam wtedy, jak ogromne znaczenie ma dla mieszkańców Jazgarki fakt zorganizowania szkoły. To jeszcze bardziej zachęciło mnie do działania, aby jak najszybciej rozpocząć nauczanie.

Serdeczny stosunek do mnie mieszkańców wsi

Gospodarze pomyśleli również o mieszkaniu dla mnie. Zgodził się mnie przyjąć Pan Lesiński Franciszek. Dali mi swoje meble; zrobili

łóżko z desek, półkę i stolik, gdyż nie miałam żadnych swoich sprzętów. Mimo, że nie mieli oni dzieci w wieku szkolnym, to bardzo przyjaźnie mnie traktowali, tak jak kogoś z rodziny. Zaprosili nawet na Święta Wielkanocy moich rodziców, znając trudne warunki życia w mieście. Zżyłam się bardzo z tą rodziną, a szczególnie zaprzyjaźniłam się z ich córką Helą, która w niedługim czasie wyszła za mąż za gospodarza z Dylewa – Szewczyka.

Rada Szkolna troszczyła się o moje potrzeby materialne, dostarczano mi niezbędne produkty żywnościowe. Nie miałam przecież wtedy pieniędzy, gdyż moja pensja miesięczna 500 zł starczała tylko na zakup 1 kg masła. Rodzice w naturze wynagradzali za wynajęcie lokalu szkolnego, jak również za moje mieszkanie. Zbierali na ten cel zboże, lub kartofle od gospodarzy, których dzieci chodziły do szkoły. Ponieważ większość czasu poświęcałam zorganizowaniu szkoły i pracy z dziećmi, więc gospodyni, u której mieszkalam, najczęściej zapraszała mnie do wspólnego stołu, abym nie musiała sama sobie gotować. Nigdy nie zapomnę tych chwil i miłej atmosfery jaka tam panowała.

Praca w szkole

Po kilkudniowych przygotowaniach sali lekcyjnej i sprzętów szkolnych, zaczęły przychodzić dzieci. Było ich około setki w wieku od 7-miu do 14 lat. Przede wszystkim musiałam zorientować się co do poziomu wiedzy starszych uczniów, gdyż młodsze od 7-miu do lat 10 były na jednym poziomie, musiały zaczynać od poznawania alfabetu. Podzieliłam wszystkie dzieci na dwie klasy. W klasie I było około 50 uczniów, te które w ogóle nic nie umiały. W klasie II znalazły się dzieci o różnym poziomie. Większość z nich stanowiły te, które przed wojną chodziły do I i II klasy, oraz te, które w domu poznały podstawy nauczania, umiały czytać, pisać i liczyć w zakresie 20-tu lub 100.

Był to ogromnie zróżnicowany poziom. Niektóre dzieci umiały tylko czytać, a nie umiały pisać. Byli tacy, którzy nieźle liczyli pamięciowo, a nie potrafili rozwiązywać działań matematycznych. Nie posiadałam żadnego programu nauczania, a zresztą w tamtych warunkach przy tak zróżnicowanym poziomie wiadomości uczniów nie spełniałby on swego zadania.

Mimo braku przygotowania pedagogicznego zupełnie dobrze dawałam sobie radę. Dużym plusem było to, że dzieci były niezwykle

chętne do nauki, posłuszne, karne i ogólnie można powiedzieć były zdolne. Do szkoły garnęły się z zapałem, nie zważając na złą pogodę i niezbyt ciepłe odzienie. Chodziły w samodzielnych ubraniach, swetrach z owczej wełny, a na nogach miały przeważnie zrobione przez rodziców drewniaki; rzadko które z nich miało obuwie z prawdziwego zdarzenia. W słotne i zimowe dni okrywały się chustkami. Mimo tych niewygód systematycznie uczęszczały na zajęcia. Skromne przybory szkolne nosiły w płóciennych torebkach. Zamiast zeszytów nosiły jakieś stare ponemieckie bloczki i kwity do pisania. Atrament robiły sobie z soku buraczanego. Na tablicy pisało się zamiast kredą, znalezionymi w polu kawałkami wapieni. Naukę w szkole prowadziłam na dwie zmiany. Od 8-mej do 11.30 uczyła się pierwsza klasa, a od 12.00 do 16.00 klasa II. Staralam się jak najwięcej czasu poświęcić dzieciom w szkole, wiedząc, że w domu nie mają one odpowiednich warunków do odrabiania lekcji. Zdawałam sobie sprawę z konieczności nauki pogłądowej. Największe znaczenie miała tablica szkolna, na której pisało się litery, wyrazy i teksty. Przy pomocy tablicy przeprowadzałam analizę wyrazów, tekstów, utrwalalam znajomość liter.

Starsze dzieci z klasy II przynosiły różne podręczniki i trzeba było indywidualnie zadawać każdemu z nich tekst do nauczenia się. Staralam się także wypożyczać od znajomych różne książki i czasopisma do czytania, aby uczniowie mieli z czego uczyć się czytać. Na lekcji dzieci zawsze pragnęły, aby je odpytywać z tego czego się nauczyły. Z tego powodu nie mogłam nigdy zmieścić się w czasie i lekcje trwały zawsze dłużej niż 45 minut. Dzieci byłyby niepokieszone, gdybym nie zapytała tego, kto uporczywie trzymając rękę, zgłaszał się do odpowiedzi. Klasa II lubiła bardzo lekcje matematyki zwłaszcza wspólne rozwiązywanie zadań z treścią. Wielu uczniów odznaczało się dobrą pamięcią i szybką orientacją. Z każdym dniem coraz pewniej czułam się wśród uczniów i coraz łatwiej osiągałam zamierzony cel. Dla urozmaicenia lekcji stosowałam często kilkuminutową gimnastykę śródlekcyjną lub inscenizację piosenki.

Ogromnie lubiły dzieciaki lekcje śpiewu. Większość z nich była obdarzona dobrym głosem i słuchem muzycznym. Uczyłam ich piosenek, które znałam ze swych lat szkolnych, a one często śpiewały mi swe kurpiowskie piosenki. Bardzo podobały się dzieciom pieśni żołnierskie, jak np. „Rozkwitały pęki białych róż”, „O mój rozmarynie” i inne. Dzieci młodsze szczególnie lubiły wesołe piosenki z insceniza-

cją, np. „Gdzieżeś ty bywał czarny baranie”, „Jadą, jadą dzieci drogą”. Przyznać muszę, że niewiele czasu poświęcałam na lekcje śpiewu, rysunków i zajęć praktycznych z uwagi na brak czasu, oraz duże zaległości w języku polskim i matematyce, wynikające z kilkuletniego pozbawienia dziatwy nauki wskutek wojny i okupacji. Rzadko też chodziliśmy na wycieczki, które stanowiły ważny element we wzajemnych kontaktach z uczniami. Podczas takich wędrówek po okolicy, dzieci śmiało zadawały pytania, oraz udzielały odpowiedzi. W ten sposób wzbogacały swoje słownictwo, ja zaś poznawałam gwarowe określenia niektórych zwierząt i roślin. Wiele czasu poświęcałam w domu na przygotowanie pomocy naukowych, gdyż wiedziałam, że tylko ucząc pogładowo, mogę osiągnąć zadowalające wyniki nauczania. Między innymi wyszukiwałam ilustracje, bądź też sama rysowałam obrazki – pisałam obok nich wyrazy i litery. Na lekcje matematyki przygotowywałam kartoniki z odpowiednią ilością kółek, lub innych przedmiotów umieszczając obok cyfrę.

Patrząc z perspektywy czasu na ten okres marzec-lipiec 1945 r., mogę szczerze powiedzieć, że nie zmarnowałam czasu i osiągnęłam bardzo dużo. Uczniowie klasy I opanowali cały alfabet i w większości nauczyli się czytać, opanowali też liczenie, dodawanie i odejmowanie w zakresie 20. Klasa II dość płynnie czytała, pisali łatwe teksty z pamięci, nieźle się wypowiadali. Zakres działań matematycznych opanowali z małymi wyjątkami w zakresie 100. Byłam zadowolona z moich uczniów; radzi też byli rodzice, że ich dzieci poczyniły tak znaczące postępy w nauce i to w niedługim czasie.

Drugi rok w Jazgarce

W nowym roku szkolnym od 1 września 1945 r. powróciłam do szkoły w Jazgarce. Sala lekcyjna została przeniesiona do domu państwa Lesińskich, a ja zamieszkałam u państwa Kowalczyków. Dzieci bardzo się ucieszyły z mego powrotu. W tym roku szkolnym miałam już trzy klasy. Klasa I uczyła się oddzielnie, natomiast klasa II uczyła się łącznie z klasą III. Nielatwa to była praca i trudne zadanie prowadzić zajęcia w klasach łączonych. Brak książek, zeszytów, bloków rysunkowych, ograniczał możliwość zadawania samodzielnej cichej pracy, zarówno z języka polskiego, jak i z matematyki. Szczególnie pomocna była tablica szkolna, na której pisałam przykłady,

zadania oraz ćwiczenia i teksty do cichych zajęć. Podczas, gdy z klasą II prowadziłam lekcję głośno, a więc czytanie, opowiadanie, rozwiązywanie pamięciowe zadań, to klasa III w tym czasie pracowała samodzielnie, rozwiązując przykłady z tablicy, uzupełniając ćwiczenia, względnie cicho czytając tekst i odpowiadając pisemnie na pytania. Było to niezmiernie trudne i uciążliwe zarówno dla mnie jak i dla uczniów. Nie było jednak innego wyjścia z tej sytuacji, gdyż ze względu na czas nie można było uczyć na trzy zmiany. Zaczynałam lekcje z klasą I o godz. 8-mej, kończyłam o 11.30. Klasy II z III-cią uczyły się od 12-tej do 16-tej. Zawsze przedłużałam lekcje, do zmierzchu, niemożliwe było bowiem oświetlenie lampą naftową całej izby lekcyjnej.

Jasełka

Podczas wakacji zdobyłam książeczkę z tekstem przedstawienia na Boże Narodzenie pt.: „Jasełka”. Postanowiłam przygotować z moimi uczniami tą inscenizację, aby zrobić niespodziankę rodzicom i sąsiadom. Przedstawienie składało się z czterech aktów. W akcie I pasterze spali na scenie pod drzewami. Nagle ukazał się im anioł, zwiastując nowinę o narodzeniu Bożego Dzieciątka. Zbudzeni ze snu, zaczęli szykować węzłki z podarunkami dla Jezuska i śpiewając kolędę „Do szopy hej pasterze” poszli do Betlejem. II akt ukazywał żłobek z leżącą w nim lalką, uosobienie Dzieciątka. Nad nim widniała gwiazda betlejemska umieszczona na drzewku. W roli Matki Boskiej wystąpiła pamiętam Czesia Parzychówna, która pięknie śpiewała kolędą „Lulaj Że Jezuniu”. Potem do stajenki przybyli pasterze, trzej królowie oraz gromadka dzieci, śpiewając „Pójdźmy wszyscy do stajenki”.

Szczególnie wesoły był akt III. Na fotelu, przykrytym ozdobną tkaniną, siedział dumnie król Herod, wydając swym żołnierzom zbrodniczy rozkaz zabicia nowonarodzonego Jezusa, oraz innych małych chłopców. Za to spotyka go zasłużona kara. Oto zjawiają się śmierć i diabeł, którzy w radosnych podskokach zrzucają go z tronu i wynoszą ze sceny. Śpiewają potem i tańczą kilka minut z radości, że nie ma już Heroda. Akt IV był spokojny, lecz nader wymowny. Na scenie pojawił się wędrowny dziadek, nędznie odziany z workiem na plecach. Żalił się, że chodząc po świecie, nie zawsze spotykał ludzi życzliwych, którzy okazywali mu współczucie i dzielili się chlebem. Widział

w kraju dużo dobrego, lecz także wiele złego. Na koniec dziadek otworzył swój worek, z którego wyjmował podarki dla dzieci. Były to słodczyce, kredki, ołówki, gumki, grzebyki, szczoteczki do zębów i inne drobiazgi. Część tych prezentów zakupiliśmy z rodzicami, część otrzymaliśmy z inspektoratu szkolnego. Dzieciaki były niezwykle ucieszone tymi skromnymi upominkami.

Występ nasz zrobił ogromne wrażenie wśród widzów. Byli na nim nie tylko mieszkańcy Jazgarki, lecz także ludzie z sąsiednich wiosek. Przez kilka dni wspomniano o tym przedstawieniu. Szczególnie dumni byli rodzice, których pociechy brały udział w Jaselkach, a i same dzieciaki cieszyły się, że się im udało dobrze odegrać rolę i zasłużyć na pochwałę widowni. Muszę przyznać, że sama nie spodziewałam się, iż uda się nam tak pomyślnie zrealizować ten pomysł. Przygotowanie i próby trwały ponad miesiąc. Ćwiczyliśmy te scenki wieczorami, przy lampie naftowej. Sporo pracy było też z przygotowaniem dekoracji i sceny, zrobionej z desek umieszczonych na ławkach. W tym pomogli nam rodzice i młodzież.

Życie towarzyskie

W okresie karnawału, a więc po Bożym Narodzeniu, młodzież często organizowała zabawy z udziałem orkiestry składającej się z harmonii i bębna. Na te imprezy oczywiście mnie zapraszano i często w nich uczestniczyłam. Podziewiałam lekkość i zwinność dziewcząt, które w samych skarpetkach bez pantofli tak zgrabnie tańczyły, że nie zdarzyło się, aby jakiś młodzieniec, tańczący w butach podeptał im palce stóp. Przeważnie tańczono dziarskie oberki, polki, czasem walczyki. Najczęściej zaś były to kurpiowskie tańce „olender”, „powolnik” i inne.

W ciągu mego pobytu w Jazgarce trzy razy byłam zaproszona na wesele. Bardzo mi się podobały zwyczaje związane z tymi uroczystościami, a szczególnie „oczepiny”. Panna młoda, już bez czółka na głowie, a wokoło kobiety śpiewające. Słowami pieśni zachęcały gości do składania pieniędzy dla młodych „Daj, daj, nie żałuj, choć sto złotych ofiaruj”. Nie było przecież wtedy zwyczaju kupowania prezentów, lecz goście składali pieniądze dla młodych. Całe wesele, począwszy od wyjazdu do kościoła, aż do samego zakończenia było przeplatane śpiewkami i wesołymi żartami. Mimo biedy powojennej

i skromnego poczęstunku, panowała zawsze przy tym obrzędzie radośna i serdeczna atmosfera. Na jednym weselu wystąpiłam w stroju kurpiowskim, co wywołało radość dzieci i podziw gości. Kobiety mówiły „udała się nam pani. W naszym obleczeniu jest ładniejsza. Tera to całkiem nasa”.

„Leśni” na zabawie

Pewnej karnawałowej soboty na zabawie wiejskiej pojawili się nieznanymi młodzieńcy, odróżniający się zachowaniem i mową. Nie tańczyli dużo, byli może ze 2 godziny i ulotnili się. Domyślałam się, a potem dowiedziałam od syna gospodarza, że to „leśni”. Na niedzielę pojechałam do Ostrołęki i wróciłam dopiero w poniedziałek wieczorem, gdyż była jakaś narada w inspektoracie.

Po powrocie zdenerwowana gospodyni powiedziała mi, że dzisiaj tj. w poniedziałek przed południem przyjechali na dochodzenie funkcjonariusze MO z Kadzidła. Nie obyło się bez użycia przemocy fizycznej. Pytali, kto był w sobotę na zabawie i skąd przybyli ci nieznanymi młodzieńcy. Jednak nic się nie dowiedzieli, gdyż młodzież kurpiowska była twarda i stanowcza. Oznajmili, że „pewnie to byli chłopaki z dalszej wioski”. Przekonałam się jednak, że ktoś musiał donieść do MO, więc należało być ostrożnym i pilnować się, aby nie podpaść milicji. Zżyłam się bardzo ze społeczeństwem Jazgarki. Dzieliliśmy z nimi ich radości i smutki, czułam się swojsko, nie miałam nigdy żadnych konfliktów z rodzicami ani sąsiadami.

Przeniesienie do Klimek

Zmartwiłam się niezmiernie, gdy dowiedziałam się, że inna nauczycielka chce zająć moje miejsce w Jazgarce. Nie wiem dlaczego zależało jej tak bardzo na tym, lecz nie mogłam się upierać, ponieważ pomyślałam, że to osoba bardziej uprzywilejowana. Ja byłam bezpartyjna. Otrzymałam pracę w szkole powszechnej w Klimkach, także w gminie Kadzidło. Przedemną pracowała tam nauczycielka, pochodząca z Warszawy, która przeniosła się do innej miejscowości. Wioska, do której przybyłam oczarowała mnie swym malowniczym położeniem. Dokoła były lasy, miejscami przegradzane łąkami i polami uprawnymi. Większość domów, a także szkoła stały pośród sosen i świerków.

Właścicielem budynku, gdzie mieściła się szkoła był pan Półtorak. Ja zamieszkałam w kuchni u państwa Myszków. Nie wiem, czy miałam, jak to się nieraz mówi, szczęście do ludzi, lecz muszę przyznać, że trafiłam tak, jak w Jazgarce do bardzo szlachetnej rodziny. Gospodarz, człowiek starszy, poważny i stateczny, budził respekt wśród swych czterech synów. Najbardziej zaprzyjaźniłam się ze ślicznymi dziewczynkami sześciioletnimi bliźniaczkami Stefcią i Marysią, które odznaczały się niezwykłą urodą. Bardzo lubiły przychodzić do mnie, słuchać bajek, a czasem miałam dla nich coś słodkiego. Często przynosiły mi w miseczkach obiad lub kolację, mówiąc że mama nie kazała mi dzisiaj gotować. Byłam im bardzo wdzięczna za okazywaną mi serdeczność i troskliwą opiekę. Gdy byłam chora, gospodyni wyleczyła mnie ziółkami, sokiem z malin i mlekiem z czosnkiem.

Praca w nowej szkole

W tym roku szkolnym 1946/47 miałam bardzo dużo pracy, ponieważ były tu już cztery klasy, a co najgorsze były to klasy łączone. Klasa I uczyła się z klasą II, a klasa III z klasą IV. Pierwsza zmiana przebywała w szkole od godz. 8-mej do 11.30, a druga zmiana od 12-tej do 16-tej. Zimą wracaliśmy do domu, gdy zapadał zmrok i gwiazdy ukazywały się na firmamencie. Dzieci mówiły wtedy „Pani to uczy nas do gwiazdów”. Nie byłam zmęczona taką długotrwałą nauką, ponieważ zachęcały mnie pomyślne rezultaty mej pracy. Widziałam chęć i zapał do nauki wśród uczniów, a także uznanie i szacunek ze strony ich rodziców, którzy odnosili się do mnie bardzo przyjaźnie.

Zapoznanie z historią Polski

W klasie III i IV zaczęłam uczyć historii, opowiadając o dziejach naszego narodu i państwa. Mówiłam najpierw o pierwszych Piastach, o powstaniu państwa Polskiego. Potem przedstawiłam na lekcjach w sposób bardzo obrazowy najważniejsze wydarzenia z naszej historii. Dzieci z zapartym tchem słuchały o bitwie pod Grunwaldem, o walkach z Niemcami i obronie Głogowa. Z zainteresowaniem i uwagą śledziły opowiadania o obronie Częstochowy, o Sobieskim pod Wiedniem. Nie były to normalne lekcje historii, lecz zapoznawanie się fragmentaryczne z losami naszej ojczyzny. Dużo czasu poświęciłam

rozmowom o wybuchu i przebiegu wojny w 1939 r. Nie pominęłam również Powstania Warszawskiego. Uważałam, że jest moim obowiązkiem budzenie patriotyzmu wśród dzieci, które do tego czasu niewiele wiedziały o przeszłości swej ojczyzny. Nie posiadałam konkretnego programu, więc uczyłam dzieci tego, czego się sama nauczyłam i o czym wiedziałam z doświadczenia wojennego. Czasami starsi uczniowie zabierali głos, mówiąc o rodzicach, którzy byli na wojnie albo w obozach, więzieniach i przymusowej pracy u Niemców. Dzieci bardzo lubiły te historyczne opowiadania i nieraz było tak, że przedłużałam lekcje.

Spotkanie z „leśnymi”

Tam właśnie w Klimkach (odległych od głównych dróg), spotkałam po raz pierwszy w lesie partyzantów z AK, których mieszkańcy wioski nazywali „leśnymi”.

Było to we wrześniu; śpiewając szliśmy z dziećmi do lasu na grzyby. Nagle zauważyliśmy dwóch młodzieńców, naprawiających pod drzewem rower. Zainteresowali się nami i powitali wesoło „Dzień dobry”. Jeden z nich podszedł do mnie i zapytał „skąd i dokąd idziemy?”. Poznałam z rozmowy, że nie pochodzi on z tych okolic i również zapytałam skąd się tu wzięli. Wówczas ten młodszy pokazał ukrytą pod klapą marynarki tarczę z orłem polskim w koronie i z literami AK. Jednocześnie zapytał: „czy wiem, co to znaczy”. Następnie jeden z nich zapytał, czy jestem partyjna, a gdy zaprzeczyłam, roześmiał się i odrzekł „to dobrze”, bo teraz rządzą nami Mośki, Srule i komuniści”. Zapytał jeszcze, czego ja uczę w tej szkole. Wówczas powiedziałam „uczę polskiej mowy, polskich pieśni i tego, czego się o Polsce nauczyłam w szkole przed wojną. Zwrócił się potem do dzieci: „Dziękujcie Bogu, że macie nauczycielkę, która nie kocha komunistów i uczy was być dobrymi Polakami”. Wkrótce odjechali do lasu. Wieczorem zaś słyszałam odgłosy strzałów, co skojarzyłam sobie ze spotkaniem „leśnych”.

Za kilka dni jeden ze spotkanych w lesie odwiedził nas w szkole. Nie podobało mu się, że orzeł na godle państwowym jest bez korony. Wyjaśniłam mu, że takie godło otrzymałam z wydziału oświaty, więc nie będę go zmieniała, poza tym ważniejsze jest mieć w sercu Polskę i nie należy zwracać uwagi na takie szczegóły, jak np. korona na głowie orła. Zapytał, czy dzieci umieją śpiewać hymn państwowy,

który na szczęście nie został zmieniony. Oczywiście zaraz uczniowie wstali i na moje polecenie zaśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wówczas zasalutował, gdyż był tym razem w mundurze. Odchodząc powiedział: „przy okazji jeszcze zajrzę do szkoły”.

Dzieci z Klimek sporo wiedziały o pobycie partyzantów, lecz były przyzwyczajone do tego, aby nie mówić za dużo i nie interesować się nieznanymi ludźmi. Było to konieczne w tych niespokojnych czasach.

Wizyta MO w szkole

Nie zapomnę do końca życia tego przykrego wydarzenia, jakie miało miejsce w maju 1947 r. Prowadziłam właśnie lekcję matematyki i pisałam na tablicy przykłady dla klasy III-ciej, które mieli rozwiązać w domu. Zerknęłam w okno i ujrzałam, zaglądale przez szybę twarze umundurowanych osób. Mimo zaskoczenia kontynuowałam lekcję, opanowując zdenerwowanie nieproszonymi gośćmi. Ponieważ nie przerywałam zajęć, panowie zaczęli się denerwować. Jeden z nich bez pukania zajrzał do klasy. Powiedziałam wówczas: „za 10 minut skończę lekcję”. Wyjaśniłam uczniom pracę domową i oznajmiłam, że kończymy zajęcia.

Po wyjściu dzieci z klasy trzech funkcjonariusze MO rozsiedli się wygodnie w ławkach i niby żartując, zaczęli mnie wypytywać. Jeden z nich zagaił „jak widzę dobrze pani sobie daje radę, lecz taka młoda osoba pewnie się nudzi na wsi”. Odrzekłam; „mam tyle pracy z setką uczniów, iż nie mam czasu na nudę”. Drugi uśmiechając się fałszywie odrzekł; „Ma tu pani wesoło, tyle młodzieży na wsi, a jeszcze przychodzą tu z innych stron różne „Rysie”, „Sępy” „Orły”, „Roje”. Wiedziłam, co miał na myśli, lecz udawałam naiwną, mówiąc, że widziałam tylko zające i dwa razy sarnę, a innych okazów nie spotkałam. Wspomnieli też o zabawach, na które przychodzą piękni młodzieńcy. Aby przerwać tę indagację zaczęłam mówić podniesionym głosem, że nie mam czasu na rozrywkę i proszę, aby nie wmawiali mi niestworzonych bredni. Teraz „nieproszeni goście” zdenerwowali się, że nie udało się nic ode mnie wydobyć i polecili mi przybyć pojutrze na posterunek MO w Kadzidle.

Wieczorem naradziłam się z gospodarzami, czy lepiej posłuchać, danego przez milicjantów rozkazu, czy w ogóle nie zgłaszać się na posterunek. Ustaliliśmy, że trzeba się tam zgłosić, gdyż w przeciwnym razie będą mieli podstawę do zarzutów przeciw mnie, ponieważ nie

przyszłam, gdyż się bałam. Przemyslałam wszystko, jak będę mówiła: „nic nie wiem, nie interesuję się polityką, mam moc pracy i obowiązków w szkole”. Pojechałam do Kadzidla rowerem razem z siostrą, która miała na mnie czekać.

Inwigilacja na posterunku MO w Kadzidle

O godz. 12.00 byłam już na posterunku. Trzej milicjanci zaczęli mi zadawać podchwytliwe pytania, dotyczące pobytu partyzantów w Klimkach, kontaktu młodzieży wiejskiej z leśnymi, o udzielaniu im gościny i transportu. Tak jak postanowiłam w duchu, tak też nie załamywałam się. Stanowczo zaprzeczyłam wszystkiemu. Odpowiedziałam; „nie widziałam żadnych podejrzanych osób i nie słyszałam o niczym. Muszę dużo pracować, uczyć w szkole i sama muszę się dokształcać, tak że nie mam czasu na rozmowy z nieznanymi”. Wściekli się na mnie za to, że udaję głupią, ponieważ nie chcę nic mówić, współpracuję z leśnymi. Wtedy ze złością zaczęłam krzyczeć, że jest już późno, że muszę wracać do domu. Zaczęli mnie straszyć, np. „pojedziemy do UB”. Udałam zadowolenie, „że chociaż raz przejadę się samochodem”. Nadmieniłam tylko; „co będzie, gdy jutro nie przyjdę do szkoły, kto będzie za mnie uczył dzieci”. Jeden z nich krzyknął wówczas: „Dosyć już tych żartów”. Proszę podpisać nam ten papier, wtedy puścimy panią do domu”.

Treść była mniej więcej taka: „Ja M. W. nauczycielka szkoły w Klimkach zobowiązuję się powiadamiać MO w Kadzidle o pobycie podejrzanych osób i kontaktach miejscowej ludności z nimi”. Uniosłam się gniewem i podarłam ten świstek, krzycząc: „Czy panowie myślicie, że ja będę zajmować się szpiegowaniem. Jestem nauczycielką, a nie konfidentem, nie mam zamiaru chodzić po wsi i po lasach, szukając nieznanymi osób”. Zrozumieli, że nic im nie powiem i pozwolili mi wreszcie odejść, zaznaczając, że za miesiąc mnie odwiedzą.

Była już prawie północ, gdy spotkałam, czekającą na mnie siostrę, która ogromnie się denerwowała moim kilkugodzinnym pobytom na posterunku MO.

Po paru dniach spotkałam dawnego kolegę mego brata, który wiedział o wszystkim. Wyraził swe uznanie wobec mojej postawy w MO. Powiedział: „Nie wiedziałem, że taka jesteś twarda, chłopcy się czasem wygadali, a ty nic nie powiedziałaś”. Takie to były trudne, niespokojne te pierwsze powojenne lata. Często nie wiadomo było kto jest kim.

Niespokojne dni

Często „leśni” przebierali się w mundury milicjantów i odwrotnie milicja oraz funkcjonariusze UB udawali partyzantów. Z tego powodu dochodziło nieraz do tragicznych sytuacji. Pewnego wieczoru leśni w milicyjnym przebraniu przyszli do domu młodego człowieka Stacha L., mieszkającego w lesie. Prosimi o pokazanie, gdzie mieszka jeden z partyzantów. Wyszedł z nimi i więcej nie wrócił do domu. Wówczas zaczęto się domyślać, że byli to przebrani „leśni”. Nie wiadomo było, czy były to osobiste porachunki, czy naraził się partyzantce za domniemane kontakty z UB. Pamiętam szczególnie to wydarzenie, gdyż na polecenie MO braliśmy udział w poszukiwaniu w lesie ciała zaginionego chłopaka. Przywieziono do szkoły dużo saperek i polecono chodzić po lesie i przekopywać podejrzane wzniesienia. Niestety nikt go nie znalazł. Takie to były niespokojne czasy. Zapamiętałam też dokładnie, gdy w związku z amnestią ujawniali się członkowie AK i zwieźli na posterunek całą furę różnej broni. Niektórzy odważniejsi część broni gdzieś głęboko, tajemniczo chowali po lasach.

Pod koniec roku szkolnego byłam ciągle niespokojna, gdyż spodziewałam się zapowiedzianej wizyty milicjantów. W ogóle nerwowo byłam wykończona. Wspólnie z rodzicami zdecydowaliśmy, że muszę się przenieść w inne strony. Dzięki znajomości rodziców z p. Majewski, byłym przedwojennym inspektorem, znalazłam pracę w Józefinie koło Grodziska Maz. Byłam niepokieszona koniecznością opuszczenia mojej szkoły, dzieci i rodziców, z którymi się żyłam i od których spotkało mnie wiele dobrego.

Pracowałam ogółem 33 lata w różnych szkołach, lecz najbardziej zapamiętałam okres mej pierwszej pracy w Jazgarce i Klimkach. Tam w sercu Puszczy Zielonej zdobywałam podstawy umiejętności współżycia z ludźmi, tam nauczyłam się kochać dzieci i odnalazłam swe powołanie życiowe – zostać nauczycielką. Marzy mi się odwiedzenie tych miejscowości, gdzie pracowałam, lecz na razie stan zdrowia i obowiązki rodzinne nie pozwalają mi na to.